

Marek A. Cichocki: Unia Europejska nie jest wrogim terytorium

Europa potrzebuje głosu nowych państw członkowskich, przede wszystkim Polski. Jako społeczeństwo i kultura wnosimy do Unii inny rodzaj doświadczenia i wrażliwości, dlatego posiadamy prawdziwy potencjał zmiany



Unia Europejska cierpi na deficyt współuczestnictwa i wzajemnej odpowiedzialności. Nie nadążając za zmieniającym się światem, może nawet przestać istnieć. Jediną jej nadzieją jest całkowita zmiana filozofii stojącej za europejską integracją – uważa prof. Marek A Cichocki. Przeczytaj artykuł, który ukazał się w „Plus Minus” Nr 12/2017

Jak to się stało, że w ciągu zaledwie kilku lat proces integracji europejskiej znalazł się na tak poważnym zakręcie? Może nazbyt łatwo ignorowano wiele symptomów nadciągającej nad Europę zawieruchy? Możliwe jest także, że niektóre z założeń, na których zaczęto z rozmachem budować konstrukcję Unii Europejskiej, były po prostu nietrafione, a teraz trudno się do tego przyznać. Zapatrzona w siebie Europa sprawia wrażenie, jakby przestała dostrzegać, jak bardzo zmienił się wokół niej świat, a teraz nie potrafi odnaleźć się w nowej sytuacji lub reaguje na nią z opóźnieniem. W takiej atmosferze, pomimo odświeżających deklaracji, krzepiących mów i serdeczności na pokaz, rzymskie obchody sześćdziesięciolecia Unii można uznać za wyjątkowo smutne przyjęcie urodzinowe.

Unia musi się zmienić

Od przeszło siedmiu lat Unia jest poważnie chora. Z marnym powodzeniem mierzy się z różnymi formami kryzysów, które wstrząsają całą konstrukcją: kryzys strefy euro, kryzys migracyjny, geopolityczny kryzys bezpieczeństwa, kryzys powolnego rozpadu zapoczątkowanego przez Brexit. Wszystko to sprawia, że chyba po raz pierwszy w historii na poważnie zachwiana została wiara w przyszłość tego projektu. W najgorszym scenariuszu Unia Europejska może nawet przestać istnieć i to w całkiem nieodległej perspektywie. To co niedawno jeszcze niewyobrażalne, stało się więc całkowicie realne.

Jakby mało było wewnętrznych kłopotów, zaczyna kształtować się także wyraźny sojusz tych wszystkich polityków, którzy całkiem otwarcie, choć często z różnych powodów, życzą Unii rychłej śmierci. Są wśród

nich choćby Władimir Putin, Marine Le Pen, Recep Erdogan, Stephen Bannon, Nigel Farage, a to tylko początek długiej listy nazwisk.

Pierwszym poważnym ostrzeżeniem był Brexit, chociaż szybko został uznany w wielu europejskich stolicach za jednorazowe nieszczęście. Dlatego los musiał przemówić wyraźniej, tak aby wszyscy zrozumieli, że zmiany dzieją się na poważnie. Po wyborze Trumpa nikt w Europie nie może już oszukiwać się nadzieją, że można po prostu iść dalej dotychczasową drogą, tak jakby nic się nie stało.

UE musi się więc zmienić, jeśli chce przetrwać zgodnie ze znaną teorią Josepha Schumpetera, że bez zmian niemożliwy jest postęp, a kryzysy stwarzają okazję, aby móc pójść do przodu. Myśli austriackiego ekonomisty, twierdzącego, że nawet jeśli zmiana ma charakter destrukcyjny, to jej skutki są zawsze twórcze, mogą być nawet dobrze znane niektórym lepiej wykształconym unijnym urzędnikom. Z całą pewnością kojarzy je Jean-Claude Juncker, przewodniczący Komisji Europejskiej, który ogłosił niedawno białą księgę będącą przeglądem możliwych scenariuszy zmian, jakie powinny w najbliższym czasie dokonać się w Unii w nowych, ciężkich czasach.

Juncker nie ma szczęścia. Jego wybór na przewodniczącego był trudny. Skonfliktowany z nim osobiście były premier Wielkiej Brytanii David Cameron w ogóle nie chciał dopuścić do tego wyboru i groził wetem. Także Angela Merkel nie była początkowo przekonana do pomysłu, aby to były premier Luxemburga i jednocześnie weteran europejskiej polityki stanął na czele Komisji. Junckerowi udało się jednak stworzyć wrażenie, że to właśnie jego wieloletnie doświadczenie w europejskiej

polityce, sięgające jeszcze czasów Kohla i Mitterranda, stanowi niewątpliwy atut w sytuacji, kiedy Unii grozi postępujący kryzys. I to zapewniło mu zwycięstwo.

Kiedy Juncker obejmował urząd, wielu żywiło nadzieję, że uda mu się postawić Komisję na nogi, a może nawet przywrócić jej świetność z czasów legendarnego Jacques'a Delorsa. Tak się jednak nie stało. Po brytyjskim referendum w sprawie Brexitu Juncker stał się raczej uosobieniem starego unijnego establishmentem, reprezentującego politykę z przeszłości i świat, który powinien odejść do historii. Kiedy więc niedawno okazało się, że przewodniczący Komisji szykuje w zaciszu brukselskich gabinetów nową, wielką strategię, która ma pomóc Unii wyjść z kryzysów, wielu zapewne westchnęło na tę wiadomość z poczuciem ciężaru na sercu, przewidując raczej nowe kłopoty niż zbawienną inspirację. W lutym, głównie przez brytyjskie gazety, przemknęła nawet wiadomość, że Juncker zagroził dymisją, co zdaje się było jakimś pokłosiem wewnętrznych walk między nim a niektórymi państwami, niezadowolonymi z pomysłu wydania białej księgi. W końcu jednak przewodniczący Komisji dopiął swego, ogłosił w Parlamencie Europejskim swój program.

Pięć scenariuszy

Biała księga na temat przyszłości Europy", szczególnie jej pierwsza część, stanowi typowy przykład urzędowego optymizmu w starym stylu. Jest manifest z Ventotene, jest Brama Brandenburska, kilka wykresów pokazujących mniej lub bardziej optymistyczne trendy i oczywiście zdjęcie przewodniczącego patrzącego z odwagą w przyszłość, który nawet próbuje się do nas troszeczkę uśmiechnąć. Na

szczęście druga część pozwala usystematyzować problem reformy Unii w sposób, który nie tylko porządkuje pewne kwestie, ale także uzmysławia skalę nieporozumienia.

Raport przedstawia pięć możliwych scenariuszy według wspólnego wzorca, który pozwala zobaczyć charakterystyczny schemat myślenia brukselskich decydentów o kryzysie UE. Wzór dotyczy obszaru wspólnego rynku, strefy euro, to znaczy głębszej integracji w ramach unii gospodarczo-walutowej, Schengen czyli ewentualnej harmonizacji polityki migracyjnej, azylowej oraz ochrony granic, polityki zagranicznej przede wszystkim w aspekcie integracji zdolności obronnych i w końcu unijnego budżetu, a więc pieniędzy. To właśnie na tych polach miałyby się rozegrać różne możliwe scenariusze zmiany.

Dwa pierwsze scenariusze, dotyczące kontynuacji dotychczasowych działań lub ograniczenia ich do reformy wspólnego rynku, w ogóle nie przystają do powagi sytuacji, w jakiej znalazła się dzisiaj Unia, czyli do głębokiego systemowego kryzysu. Wariant zakładający wspólne działanie wszystkich 27 państw na rzecz coraz ściślej Unii wydaje się kompletnie nierealistyczny.

Pozostają więc jeszcze dwa scenariusze działań. Wariant zróżnicowanej integracji różnych prędkości został niedawno oficjalnie ogłoszony przez Hollande'a i Merkel i zawiera bardzo niebezpieczną perspektywę demontażu wspólnego budżetu UE. Najbardziej korzystne dla Wspólnoty wydaje się poprzestanie na zmianach koniecznych, za to przeprowadzonych efektywnie, ale może się okazać, że nie będzie to miało żadnego wpływu na realny bieg wypadków.

Najciekawszy może się okazać sposób oceny przez Komisję zalet każdego ze scenariuszy. Na końcu każdej tabelki, w której opisane zostają działania konieczne w ramach scenariusza we wszystkich wymienionych wyżej obszarach, pojawia się rubryka zatytułowana – „to deliver”. To jedno magiczne słowo „dostarczać” skupia w sobie wszystko co najważniejsze dla zrozumienia całego podejścia do integracji europejskiej obowiązującego wśród brukselskich mandarynów. Wskazuje ono także skalę nieporozumienia. Możemy oczywiście dyskutować nad tym, czy Unia powinna zachować jedność, czy raczej wybrać opcję różnych prędkości, czy ma przyśpieszyć, czy zwolnić, czy skupiać w swych rękach więcej kompetencji, czy z nich rezygnować – są to wszystko bardzo ważne kwestie z punktu widzenia politycznych strategii poszczególnych państw członkowskich. Jednak problem, przed którym stoi dzisiaj Unia, a tym samym przyczyna wielu jej kryzysów, nie tylko w wyborze odpowiedniej metody i najlepszego scenariusza. Problemem jest bowiem sama filozofia, która decyduje o podejściu do integracji.

Efekt ponad wszystko

Unia cierpi na deficyt współuczestnictwa i wzajemnej odpowiedzialności. Dzieje się tak dlatego, że podstawowym sposobem uzasadniania integracji stało się uzasadnianie przez efekt. W żargonie politologów często nazywa się to „output legitimacy”. Zgodnie z tym Unia ma sens wtedy i tylko wtedy, kiedy przynosi efekty, kiedy pozwala efektywnie zaspokajać potrzeby ludzi, a więc wtedy, kiedy jej sens wyraża się przede wszystkim przez owe magiczne „to deliver”. Unia jest w kryzysie, kiedy przestaje dostarczać efekty, kiedy ludzie nie widzą, by

przynosiła im ona konkretne korzyści, na przykład wtedy, kiedy nie zabezpiecza warunków stałego wzrostu lub kiedy nie potrafi przeciwdziałać rosnącemu bezrobociu.

Ten sposób myślenia o sensie integracji europejskiej jest absolutnie wszechobecny w obowiązującej dzisiaj w Brukseli retoryce, opiera się na nim większość strategicznych dokumentów Unii tworzonych pod presją kryzysów i jest także stałym lejtmotywem wystąpień polityków w wielu europejskich stolicach. Kiedy po ostatnim spotkaniu czterech największych państw Unii w Wersalu przyszło wytłumaczyć opinii publicznej konieczność wyboru integracji różnych prędkości, Angela Merkel użyła jednego podstawowego wytłumaczenia, które w tym kontekście staje się po prostu oczywiste – Unia nie może stać w miejscu, ponieważ inaczej ludzie uznaliby, że grozi jej zastój. Bo Unia musi przynosić efekt. Z tej perspektywy podstawowa korzyść Unii powinna zawierać się w tym, że jest ona najbardziej skutecznym mechanizmem – w znaczeniu skuteczności makrozarządzania – pozwalającym dokonać redystrybucji różnych, często sprzecznych ze sobą interesów oraz potrzeb. To podstawa jej legitymizacji.

Więcej tego samego

Czy to ma jednak sens? Czy naprawdę o to, szczególnie teraz, chodzi? Nad tym nikt już nie chce się głębiej zastanawiać, a doskonałym alibi staje się konieczność podejmowania działań w obliczu narastających kryzysów, coraz większego niezadowolenia wyborców, a przede wszystkim ofensywy populistów.

Zastanówmy się jednak, czy na przykład Brytyjczycy, głosując w czerwcu zeszłego roku za wyjściem Wielkiej Brytanii z UE, nie kierowali się przede wszystkim silnym przekonaniem, że z jakichś powodów ten zarządzany z Brukseli, efektywny mechanizm dystrybucji interesów i potrzeb po prostu nie ma sensu. Ci, którzy chcieliby przypisać całą winę za Brexit Brukseli, mocno mijają się z prawdą, niemniej faktem jest, że wobec takiej właśnie decyzji należałoby raczej postawić sobie na poważnie pytanie o zasadność dotychczasowej logiki integracji, zamiast upierać się, że jedyną rozsądną odpowiedzią na kryzys jest po prostu zaoferowanie obywatelom więcej tego samego.

W styczniu amerykański filozof Michael Sandel starał się uzmysłowić zebranej w Davos na Forum Ekonomicznym publiczności, że największym obecnie wyzwaniem dla głównych instytucji Zachodu oraz ich decydentów jest dobrze zrozumieć istotę obecnego kryzysu. Dlaczego tak wiele społeczeństw odwraca się dzisiaj od tych instytucji i pragnie za wszelką cenę ukarać własne elity? Jego zdaniem dzieje się tak głównie dlatego, że coraz większe nierówności, które mają nie tylko materialny charakter, naruszają zasadniczo poczucie przynależności, odpowiedzialności i spójności społeczeństw w ich kulturowym i wspólnotowym wymiarze. Dlatego powrót do takich kategorii, jak tożsamość, narodowość, państwo czy tradycyjne wartości wydaje się coraz częściej właściwą odpowiedzią na kryzys, co w sytuacji na przykład napływu fali migrantów do Europy prowadzi do ogromnych napięć wewnątrz Unii.

Nie wiem, czy słuchacze z Davos, przedstawiciele światowego biznesu, finansów, polityki i mediów zechcieli choć trochę zastanowić się nad argumentami Sandela. Jego obserwacja wskazuje na coś, co wiele analiz

potwierdza, a czego czciciele unijnej efektywności z Brukseli nadal nie chcą zobaczyć. Coraz częściej bowiem społeczeństwa w Europie zaczynają nie tylko odwoływać się do oczywistych materialnych potrzeb czy interesów, ale też kierują się własnymi narodowymi tożsamościami, dokonują wyborów pod kątem własnych wartości i preferowanych przez siebie tradycyjnych modeli wspólnego życia. A w tej kwestii magiczne słowo „to deliver” po prostu traci swój sens, gdyż uznanie takiego rodzaju niematerialnych potrzeb społecznych musi prowadzić do konkluzji, że integracja europejska polega także na tym, by pozwolić ludziom żyć w sposób, który od dawna praktykują w swoich państwowych, narodowych czy regionalnych wspólnotach. Tylko że wówczas mandaryni z Brukseli musieliby pełnić wobec nich rolę służebną.

Polski wkład

Obecny kryzys UE nie sprowadza się więc tylko do kwestii metody, do wyboru takiego czy innego scenariusza. Tutaj konieczny jest wysiłek głębszy, trudniejszy, bo wymagający rewizji pewnej filozofii podejścia do integracji europejskiej. Mniej efektów, a więcej współodpowiedzialności oraz partycypacji. W takiej sytuacji właśnie Europa potrzebuje jak nigdy głosu nowych państw członkowskich, przede wszystkim głosu Polski. Jako społeczeństwo i kultura wnosimy do Unii inny rodzaj doświadczenia i wrażliwości, dlatego posiadamy prawdziwy potencjał zmiany. To jednak ma sens, tylko jeśli nie będziemy traktować Unii jako pola walki, jako wrogiego terytorium, ale jako miejsce, które do nas należy i za które my także czujemy się odpowiedzialni. Tylko wtedy będziemy w stanie wpłynąć na cokolwiek i zmienić w jakimś stopniu dotychczasową filozofię integracji. Bycie w UE jest bowiem rodzajem zobowiązania. Jest odpowiedzialnością, którą

ponosimy wspólnie za przyszłość Unii jako europejskiego projektu cywilizacyjnego oraz za nasze miejsce w Europie, na które pracowały pokolenia naszych przodków.

Marek A. Cichocki

Artykuł ukazał się w „Plus Minus” Nr 12/2017